№ 42. Warszawa, 21 Października 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy—kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY p tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronic. przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3—5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Zatarg kolejowy we Francji.

Briand, obejmując ster rządów, oświadczył uroczyście, iż hasłem jego będzie „pokój społeczny". Z pochopnością właściwą radykalistom znaku mieszczańskiego, jednym zamachem gestu krasomówczego przekreślił antagonizmy, co tkwią w osnowie nowoczesnego życia społecznego.

I to życie lekceważone zaprotestowało przeciw frazeologji olbrzymim strejkiem kolejowców francuskich.

Za daleko zaprowadziłoby nas zaprzątanie się przyczynami, które wywołały ową ruchawkę niewolników wszechwładnego możnowładztwa kapitalistycznego, a nawet kreślenie samego przebiegu zdarzeń.

Chodzi nam o rzecz ważniejszą—o to, jak życie nadało zatargowi pozornie ekonomicznemu jaskrawe piętno społeczno-polityczne.

Ustrój gospodarczy staroczesny nie grzeszył zbytnią złożonością stosunków. Takie zaopatrywanie pojedyńczego gospodarstwa w wodę—że bierzemy przykład konkretny—odbywało się za pośrednictwem studni, znajdującej się w obrębie domostwa. Była to sprawa nawskroś prywatna: zepsucie studni, obfitość lub szczupłość wód itd. obchodziły jedynie mieszkańców domu,—nikogo nadto; zatarg przy jej kopaniu lub naprawie pomiędzy właścicielem a robotnikami był waśnią jaknajprywatniejszą, która nie wychodziła po za obręb posiadłości. Co do wody, dom był społecznością odosobnioną, dla której rzeczą obojętną było istnienie innych studni i wogóle całego świata. Interwencja państwa w tych sprawach była zbyteczna, a nawet niemożliwa.

Ale studnie ustąpiły w wielkich miastach przed wodociągami.

Otoczyła nas zewsząd złożona sieć stosunków, w której się miotamy jak muchy w tej samej pajęczynie. Jesteśmy jak zależne nawzajem człony tej samej całości i tam, w ognisku wodociągów, w owym zbiorniku wód, w filtrach itd., uderza jakgdyby serce, a tętno jego uderzeń za pomocą rur rozchodzi się po gospodarstwach prywatnych. Wszelkie obezwładnienie jego ruchów w tym ośrodku wywołuje klęskę powszechną i kładzie się ciężarem swoim na rzesze niezliczoną spożywców. Sprawa prywatna stała się rzeczą pospolitą, a zatargi, które wybuchnąć mogą w obrębie przedsiębiorstwa wodociągowego pomiędzy kapitalistą a pracownikiem, są zdarzeniem życia publicznego. Stosunek ekonomiczny przybiera tem samem piętno społeczno-polityczne. Spożywcy wody nie mogą pozostać obojętni w obliczu walki tam się odbywającej: minęły czasy, kiedy jak żółwie czuli na grzbiecie tylko własną skorupę i wyłącznie o nią dbali.

I to samo powtarza się w zakresie stosunków przewozowych, oświetlenia i wielu innych. A w miarę utrwalania się monopolu nowoczesnego — owych trustów i syndykatów — każda, zogniskowana pod jednym zarządem gałęź przemysłu otrzymuje takie samo piętno. Wraz z tym wzrostem centralizacji gospodarczej, zatarg, z pozoru wyłącznie ekonomiczny, staje się sprawą publiczną: jak od kamienia rzuconego do wody powstaje fala zataczająca kręgi coraz rozleglejsze, tak iskra, która wydobyła się w takim ośrodku życia gospodarczego, nieci pożar olbrzymi. A co ważniejsza, filister najpospolitszy, którego nie zdołała żadna moc wyrwać z jego drzemki bezwładnej, zostaje

postawiony wobec zdarzenia, które całą potęgą swoją targa jego gnuśność: został zagrożony brakiem oświetlenia, niemożliwością wyjazdu. Dotychczas był w społeczeństwie, jako zero odosobnione, osobowością bez fizjognomji wyraźnej, obecnie pod naciskiem wypadków zmuszony będzie poszukiwać jedynki, do której przyłączy swoją nicość — jedynki klasowej, streszczającej wyraźne widnokręgi i poglądy zera dotychczasowego, a właściwie interesy, bo widnokręgi są tylko osłoną ideologiczną, z takiego podłoża wysnutą. Ustrój nowoczesny, wrastając coraz bardziej w taką więź gospodarczej zależności wzajemnej, coraz potężniej uderza w szańce bezwładności umysłu i bierności obywatelskiej i zmiata posterunki Tomków, którzy nie wychylali się po za progi domku swego. Najmniejsza sprawa, która człowieka dotyczy, nie może mi pozostawać obcą, — to dumne wyrzeczenie filozofa starożytnego staje się na przekór woli ludzkiej zasadą każdego obywatela. I życie, niszcząc placówki najniedostępniejsze gnuśności, wnosi wszędzie zabarwienie klasowe. Filistrzy są niepomiernie czuli na drobne dolegliwości: na brak wody do umycia, oświetlenie ulic w nocy... Oblicza przybierają piętno klasowe: tam syty Abel, owdzie Kain głodny. Zatarg kolejowy wstrząsnął całą Francją i wszędzie przeciwstawił sobie te dwa obozy. Są ludzie, którzy prawią o zaniku antagonizmów społecznych i usiłują tę „przepaść bezbrzeżną, która braci dzieli na pokrzywdzonych i krzywdzicieli“ zapełnić zasadami kooperacji, urządzeniami oświatowemi, przeróżnego kalibru frazeologją. Naiwni! Zatarg kolejowy we Francji w ciągu dni kilku wyżłobił otchłań, która pochłonęła taką pracę syzyfową lat kilku.

Wstępujemy niewątpliwie w okres zaciekłych walk klasowych, których ogniskiem będą takie właśnie ogniska centralizacji gospodarczej. Briand usiłuje przekreślić te objawy nowoczesnego życia społecznego frazeologją czczą swoją, a gdy szydło wylazi z worka, posługuje się, demokrata mający na uściech prawa ludu, środkami zaczerpniętemi z arsenału sposobów najreakcyjniejszych.

Ż.

W kwestji żydowskiej.

W powodzi artykułów polemicznych o przemożnem zabarwieniu osobom lub ściśle kisteteryjnem aktualny stan sprawy żydowskiej u nas nie został wyjaśniony. Wpływ panującej reakcji działał równie silnie na obydwie strony walczące — aczkolwiek w sensie zgoła przeciwnym.

Powiedziano tyle niedorzeczności, że coraz częściej podnoszą się głosy wołające: „Do rzeczy“!

Ulegając tym głosom i wychodząc z założenia, że tylko przedmiotowe ujęcie kwestji może przyczynić się do rozwiązania nurtujących zagadnień—otwieramy dyskusję na łamach „Społeczeństwa“. Szczerze lewicowy punkt wyjścia autorów daje nam dostateczne rękojmie wobec naszych czytelników—bez względu na indywidualnie różne ujęcie pewnych poglądów.

Redakcja.

Kąpiel błotna.

Od pewnego czasu jesteśmy świadkami widowiska, któremu — rzeczywiście — „trudno dać nazwisko”. Pan Andrzej Niemojewski zauważył na jednym z mniej znacznych organów lewicy podejrzaną wysypkę.

Postawił djagnozę, iż jest to wysypka kosmopolityczna, nader niebezpieczna dla całego organizmu narodowego i zaaplikował leczenie owego organu za pomocą kąpieli błotnych. Organ, nie uznając ani swej choroby, ani zaleconej mu kuracji, począł bronić się ze wszystkich sił, wobec czego p. Niemojewski przyzwał do pomocy w charakterze t. zw. „kąpielowych“ p. Moszczeńską i Rzymowskiego. Rozpoczęło się szamotanie ze sprzeciwiającym się organem, które skończyło się tem, że wanna przewróciła się i błoto zalało omal że nie całą lewicę polską.

Znikła pod czarną cieczą wysypka kosmopolityczna, znikły kształty oddzielnych organów, znikł lekarz z kąpielowemi; trudno było w brudno-ciemnej zastygającej bryle odróżnić, gdzie głowa postępu polskiego, gdzie piersi, gdzie kończyny. Zjednoczenie postępowe zlało się w jakąś dziwną masę z „młotowcami“, p. Kempner z anonimowym Radkiem, „Nowa Gazeta“ z „Izraelitą“, p. Niemojewski ze ś. p. Jeleńskim, „Myśl Niepodległa“ i „Prawda“ z „Rolą“. Błoto bryznęło w oczy i oślepiło postęp, chlapnęło w usta, i usta, krzywiąc się niemiłosiernie, poczęły je wypluwać na wszystkie strony. Zewsząd jedno i to samo: błoto, błoto, błoto.

Na szczęście kuracja błotna składa się z dwuch kąpieli; po błotnej bierze się wannę lub prysznic z czystej wody. I oto pierwszy strumień oczyszczający trysnął z pod pióra tego, który jeszcze „z orlego gniazda“ wypatrywał nowej ziemi dla krzewienia nikłej przed 40 laty płonki postępu polskiego, który płonkę tę sadził i hodował, aż korzenie silnie w ziemię zapuściła, rozrosła się w sad, rodzący zarówno drzewa owocowe, jak i dziczki.

Zalew błota powoli ustępuje i ustąpić musi pod strumieniami wody czystej, wróci równowaga umysłu, oczy będą patrzeć jaśniej, usta będą znów mówić słowa, miast bryzgać błotem. Lecz smutne i niesmaczne widowisko, jakie dał z siebie postęp polski na całej niemal linji, poczynając od p. Niemojewskiego, a kończąc na „Młocie” i jego adherentach, nie powinno pozostać bez skutku. Zdaje się, iż nastał czas, by postawione przez p. Niemojewskiego zarzuty rozpatrzyć „sine ira et studio“; jeżeli są słuszne, przyjąć je do wiadomości i postępowanie zmienić; jeżeli zaś są nieuzasadnione, wytknąć błędy w rozumowaniu i wytłumaczyć, na czem błędy te się opierają. Dopiero po trzeźwej ocenie całego zajścia w prasie postępowej; po możliwie bezstronnem, spokojnem rozpatrzeniu przyczyn i skutków, będzie mógł postęp polski dojść do równowagi i przejść nad poruszonemi zagadnieniami do porządku dziennego.

Wstydem byłoby dla lewicy polskiej, gdyby z zatargu tak bolesnego nie umiała i nie mogła wyciągnąć korzyści w formie sposobów postępowania na przyszłość, gdyby jedna i druga strona miała uznać zgóry, że każde słowo wyrzeczone jest po papiesku nieomylne, gdyby ograniczyć się wszystko miało do jarmarcznego widowiska dla tłumu ze spaleniem wielce smrodliwych fajerwerków, po których, jak dotychczas, unosi się w powietrzu tylko wiele duszącego dymu.

Nie jestem do tego stopnia zarozumiały, bym sądził, iż zdołam o własnej sile dymy te rozpędzić; jeżeli uda mi się tylko skierować dyskusję na tory właściwe, to jest na drogę spokojnego i realnego rozważania, uważać będę zadanie swe za spełnione. Spodziewam się, że inicjatywę tę podejmą obydwie strony.

Pan Niemojewski jest sangwinikiem, ergo: polemistą o ognistym temperamencie. Temperament ten często tak dalece go unosi, że zadaje ciosy na oślep, rąbiąc bez wyboru i przerzucając się z jednego miejsca na drugie. Wobec tego zarzutów jest tyle i są one tak różnorodne, że—zdaje mi się — należałoby je uszeregować i rozpatrzeć podług pewnego planu. Tylko w ten sposób wnieść będzie można do dyskusji rzeczowej pewien porządek.

Sądzę, iż będziemy w zgodzie i z intencjami p. Niemojewskiego i z chronologją, jeżeli rozpoczniemy od rozejrzenia się w zagadnieniu, czy propagowany przez „młotowców“ kosmopolityzm jest na czasie i czy leży w interesach nie tylko narodu i pracującego ludu polskiego, lecz i „młotowców“ samych, jeżeli są tego ludu przyjaciółmi. Że zaś akcja p. Niemojewskiego rozpoczęta została pod hasłem „odżydzenia postępu”, zmuszeni będziemy zastanowić się nad pytaniem, czy i jaki udział biorą żydzi w propagowaniu haseł kosmopolitycznych.

Nie poruszam w tej chwili postawionego żydom zarzutu, że napadają oni wyłącznie na tradycje i wierzenia polskie, broniąc natomiast skwapliwie tradycji i wierzeń swoich, żydowskich, gdyż zarzut ten przeciwko „młotowcom“ zwrócić się nie da. Wiadomem jest ogólnie, że ten odłam lewicy, którego hasłom „młotowcy“ hołdują, nie uznaje żadnych tradycyi ni wierzeń i występuje z krytyką tychże bez różnicy, czy są to tradycje polskie, katolickie, czy żydowskie.

W zamieszaniu bojowem skierował zarzut ten p. Niemojewski przeciwko lewicy wogóle. Ponieważ nie daje się on powiązać z działalnością „młotowców“, należy go wyeliminować i rozpatrzyć, kiedy będzie mowa o tych, do których ten zarzut (słusznie czy niesłusznie—to się okaże) zastosować będzie można, to jest do obozu postępowców.

Powroćmy do kwestji kosmopolityzmu. — Europa w chwili obecnej znajduje się pod znakiem nacjonalizmu. Dość wspomnieć o ruchu narodowym litwinów, rusinów, ukraińców, by pojąć, że nie jest to płytka fala przemijająca, lecz zalew głęboki i stały. O trwałości i głębokości tego zalewu stanowią nie tyle hasła uczuciowe bytu narodowego, ile warunki ekonomiczne. Przyjrzyjmy się temu obrazowi pokrótce. Wiadomo, że źródłem, z którego wytrysnął i rozlewa się po Europie fala nacjonalizmu wojującego, są Niemcy. Otóż, okoliczności historyczne zmusiły niemal kraj ten do wysunięcia haseł wyższości rasy germańskiej ponad inne. Pięciomiljardowa kontrybucja francuska dostarczyła Niemcom znacznego, nader nisko oprocentowanego kapitału, który gdzieś ulokować należało. Skorzystał z okazji dochodzący do władzy przemysł niemiecki i użył go na swe cele. Łatwość otrzymania nader taniego kredytu była potężną dźwignią taniej produkcji, ergo i wielkiego rozwoju przemysłu. Lecz z drugiej strony gwałtowny rozrost przemysłu, nie wywołany potrzebami samego kraju, musiał sprowadzić hyperprodukcję, którą gdzieś zbyć należało, bez czego krach byłby nieunikniony. Rozpoczyna się tedy gwałtowne poszukiwanie rynków zbytu. Wschód, wobec coraz bardziej rosnącego przemysłu w Polsce i Rosji i rozwijanej przez Rosję polityki ceł ochronnych *) przestaje być rynkiem dostatecznym; rząd niemiecki staje wobec konieczności prowadzenia wojen kolonjalnych. W tym właśnie celu zostają przez Bismarka rzucone hasła wyższości rasy niemieckiej i misji cywilizacyjnej Niemiec. Coprawda, rzucając to hasło nienawiści, miał Bismark i inne cele na widoku, mianowicie—przeciwdziałanie rozrostowi niemieckiej partji socjalistycznej, której kadry wraz z rozwojem przemysłu i co za tem idzie, liczebnym wzrostem proletarjatu, powiększały się nader szybko, stanowiąc potęgę, którą chciano pokonać. Duma z powodu świetnego nad Francją zwycięstwa; samopoczucie narodowe niemców, podniecone uczuciem potęgi na skutek zlania się państewek w odrębną całość, której utrzymanie zależało również od uczucia nacjonalistycznego niemców, jako obywateli nie oddzielnych księstewek, lecz całego państwa—wszystko to wytwo-

*) Nakaz pobierania opłat celnych w złocie z r. 1877 podnosi cło o 25 proc. w stosunku do kursu rubla papierowego z r. 1868 i o 50 proc. w stosunku do rubla papierowego z r. 1877. Rewizja taryfy celnej odbywa się od r. 1877 — 1890. Zmieniona taryfa powstaje 1891 r. W roku 1900 zostaje wprowadzona nowa taryfa, podnosząca cło wwozowe od 50 do 10 proc.

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

6)

Sarnecki pozwalał jej mówić, nie przerywając. Ręką wodził po jej ramionach, szyi. Zdejmował kapelusz, rękawiczki, żakiet. Z pod bluzki uwydatniły się piersi ruchliwe, ciepłe. Wyszukał je całował, chłonął z nich zapach, jak z piersi róży.

— Gdybyś mnie pokochała, gdybyś została moją żoną. Życiebym tobie oddał, wszystkobym dla ciebie poświęcił.

Oczy Reginy straciły zwykły im wyraz słodyczy, stały się zimne, złośliwe.

— Nie lubię, takiego gadania...

— Dlaczego?

— Nie wiem, mój mały. Nudzi mnie takie gadanie.

— Zupełnie słusznie—zaśmiał się Sarnecki.—Królewna napije się czego?

— Z ochotą, mój drogi.

Sarnecki kazał przynieść czarną kawę i likier.

— Jestem zmęczona. Wyobraź sobie, że wprost z dworca przyjechałam do ciebie. Poczciwa Adelka. Zabrała rzeczy i będzie czekała, aż załatwię sprawunki. Doskonale się składa. Swoboda. Jak mamę kocham, zgodziłabym się już prędzej wyjść za mąż, byle być wolną.

Sarnecki zamknął drzwi za służącym.

— Za mąż—za mnie?—zażartował.

— Ech, Stefan, nie pleć. Powyrywalibyśmy sobie włosy z głowy.

Regina, zmrużywszy łobuzersko oczy, mierzyła Sarneckiego wzrokiem.

— Fi! taki mąż! Mój mąż musi być głupi, to pierwsze, bogaty, to drugie, mieć stanowisko, to trzecie. Ty moim mężem? Zresztą rzuciłbyś mnie po jednym roku. — Kawa, likier—wybornie! Siadaj, siadaj! Pręciutko! — Przyjmujże królewnę po królewsku, pięknie. Jestem dla ciebie jedynego. — Regina mówiła namiętnie, nachylając się nad uchem Sarneckiego. Chwyciła go za ręce, posadziła i umieściła się na jego kolanach. — Nalewaj i nie patrz! — Sarnecki wykonywał rozkazy. Masz je — przytuliła głowę kochanka do piersi nagich. Jeszcześ ich nigdy za dnia nie miał.

— Po nocach mnie tylko paliły.

rzyło grunt wielce podatny do siejby nacjonalizmu. — Ze stanu biernego przechodzi nacjonalizm w stan czynny, co wymaga nie tylko teoretycznego natężenia uczucia, lecz i praktycznego natężenia uzbrojeń. Ciągłe zbrojenia nie mogą ujść uwagi innych krajów, które muszą dotrzymywać w nich niemcom kroku.

Nietylko straszny żal po poniesionej klęsce i stracie, nietylko widmo „revanche"-u, lecz i ciągła obawa przed mogącym nastąpić nowym wybuchem, zmuszają zarówno Francję, jak i inne państwa do ciągłych zbrojeń, do podnoszenia djapazonu uczuć nacjonalistycznych. Pomijamy wiele innych czynników, wpływających jeszcze swoiście na rozwój nacjonalizmu w każdym kraju.

Tak więc, jak widzimy, źródło rozwoju uczuć nacjonalistycznych tkwi nie w uczuciowości narodów i umiłowaniu tradycji, lecz — o wiele głębiej, głównie w instynkcie samozachowawczym, w poczuciu samoobrony. Osłabienia lub zniknięcia gorączki nacjonalistycznej w Europie oczekiwać rychło nie można. Jest to okoliczność bezsprzeczna, z którą każdy działacz bezwzględnie liczyć się musi. Przy obecnym stanie ustroju kapitalistycznego dobrobyt państwa zależy od rozkwitu przemysłu, rozkwit przemysłu — od rynków zbytu. Walka o rynki zbytu jest zatem nieuniknioną koniecznością dla każdego państwa, a pomyśleć się ona nie da bez wysuwania haseł nacjonalistycznych. Jeżeli Europa cała jest zalana prądami nacjonalistycznemi, jeżeli cała polityka współczesna jest odbiciem ścierania się tych prądów, to niemożliwem i wysoce niepolitycznem się wydaje szerzenie haseł kosmopolitycznych. Zapewne, mesjaniczna idea miłości i braterstwa wszech ludów jest ideą szczytną, zasługującą na to, by wiecznie ją mieć w rozwoju ludzkości na widoku; ludzie, poświęcający swe życie przybliżeniu chwili jej urzeczwistnienia, zasługują na ogólny szacunek; lecz idea, najszlachetniejsza nawet, przy nieumiejętnem zastosowaniu w nieodpowiedniej chwili wywrzeć może skutek wręcz odmienny od swego założenia. Gdyby któreś z państw, przejąwszy się szlachetną ideą rozbrojenia, rozpuściło dziś wojska i przelało armaty na lemiesze, jutro byłoby wykreślone z liczby państw europejskich. I nie jest to dziś tylko kwestją rządów, lecz i ludów. Hasła łączenia się proletarjatu wszystkich krajów, nie tylko nie wychodzą dotychczas poza sferę haseł, lecz owszem nigdy może proletarjat niemiecki, francuski lub angielski, nie czuł się tak proletarjatem ściśle niemieckim, francuskim lub angielskim jak obecnie. Dość tylko przypomnieć sobie słowa Bebla lub Jaurèsa wkwestji narodowościowej. Zapewne, że interesy proletarjatów różnych krajów są ze sobą styczne, równolegle do styczności interesów kapitalu różnych krajów, prawda i to, że powoli łączników przybywa coraz więcej i że wspólne więzy będą coraz ciaśniejsze, lecz jakże dalekie to jest jeszcze do haseł kosmopolitycznych, do haseł wyzbycia się uczuć narodowościowych! A jeżeli tak jest, to czyż można, i czyż należy już teraz propagować te hasła, czy należy dążyć do tego, byśmy my jedni odegrali tę rolę narodu rozbrajającego się wobec uzbrojeń narodów innych? Rozumiem, że szczytne nuty, „muzyki przyszłości" mogą pojedyńczo i dziś rozbrzmiewać, lecz najharmonijniejszy nawet akord z tych nut złożony zginąć musi wobec dzikiej kakofonji trąb nacjonalistycznych. Oparta na hasłach kosmopolitycznych polityka „kitowania" również nie da się zastosować. Nie będę tu rozważał zasadniczego pytania, czy postawienie granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem byłoby z korzyścią lub stratą dla naszego proletarjatu fabrycznego, lecz pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę na fakt zwykle w dyskusji na ten temat pomijany, że jakikolwiek byłby skutek „skitowania" dla proletarjatu fabrycznego, nasz proletarjat rolny byłby się znalazł w położeniu nader niekorzystnem. Zresztą, są to kwestje nader poważne, wymagające skrupulatnej, zimnej i objektywnej dyskusji.—To też zarzut p. Niemojewskiego, tyczący się szkodliwości propagandy haseł kosmopolitycznych, *szczególniej w naszych warunkach*, wydaje mi się niezmiernie ciekawym do przeprowadzenia celowej, rzeczowej dyskusji, lecz naturalnie—nie w tonie, w jakim prowadzona jest „dyskusja" między „Myślą Niepodległą" i „Młotem"! Obelgami i inwektywami nikogo się nie przekonywa, a jeżeli ktoś uważa, że zdanie moje jest błędne lub szkodliwe winien mu przeciwstawić swe argumenty, lecz nie starać się mnie zakrzyczeć. Myśl niepodległa zobo-

---

— Jeszcze nie zadowolony, kapryśnik?

Sarnecki przygiął jej głowę do swych ust.

— Najpiękniejsza musisz być...

— No, no...

— Musisz być cała.

— Bezwstydny—brzydactwo.

— Dobrze?

Regina przyzwoliła powiekami, zsuwając się kolan.

— Okna! - i nie odwracać się!

Czas płynął.

Gdy po chwili spojrzał, oczy miała spuszczone, ale światło ukrytych źrenic zlewało lazurem marmurowe ciało, które pławiło się w rdzawym kurzu poświaty słonecznej, przedostającej się poprzez firanki. Piersi wynurzały się z płowej, przejrzystej fali włosów. Ramiona, jak białe łodygi, z których wyrastały dłonie, zaplotła na tyle głowy. Prawą nogę zagięła na lewej, uwypuklając przecudną krzywiznę bioder. Przegiąwszy się w tył, podnosiła powieki. Półotwarte usta oświetlał uśmiech wyzywający, żądny, a jednocześnie pobłażliwy, spokojny. Półmrok złocisty uwydatniał oślepiającą jasność żywego piękna, Regina wyciągnęła ręce do kochanka...

Dni i noce szczęścia leciały gwałtowne, jak burza wiosenna. Sarnecki nie widywał się z nikim. Regina znikała na parę godzin krótkiego dnia, które spędzała w domu przyjaciółki, poczem zaraz wracała do niego. Sarneckiego pochłonął całkowicie szał miłosny. Ona jedna panowała nad jego duszą. Kiedy leżał przy niej, znużony pieszczotą nie pragnąc jej uścisków, radował się wolnością, do której tak tęsknił. Wówczas tulił ją do siebie, całował jej usta beznamiętnie, znajdując rozkosz w tym pocałunku, którym całował jej duszę. Cała przeszłość, wszystkie nędze i zmęczenie życiem rozwiały się. Ogień miłosny wypalił z jego ducha rdzę i brudne osady życia. Żar szczęścia stopił logikę pojęć życia pospolitego, płodził myśli dziwne...

Raz byli przy sobie oboje — zmożeni miłością. W jego mózgu zalegl spokój. Zastanawiał się nad swojem życiem i wydało mu się nienaturalne to, że nie może mieć teraz przy sobie Janiny, za którą tęskni.

— Dlaczego ją właściwie porzuciłem—odezwał się głośno.

— Kogo?—zapytała Regina.

— Jankę.

— Inaczej chyba być nie mogło — odpowiedziała Regina.

— Być nie mogło? Dlaczego? — skoro człowiek ma tysiąc pragnień, względem różnych ludzi, tęsknotę

wiązuje i do niepodległości słowa; nie wolno zabronić nikomu wypowiadać swych przekonań; owszem, im je nasz przeciwnik jawniej wyraża, tem dla nas lepiej, gdyż łatwiej nam je zwalczać.

(D. c. n.)

Wojciech Kesling.

Testimonium paupertatis.

Prowadzenie polemiki z publicystami postępowego obozu jest zaprawdę niewdzięcznem zadaniem. Posiadają oni bowiem specyficzny dar zaciemniania wszelkiej kwestji. Starają się jakgdyby umyślnie o to, aby wypowiedzieć się niewyraźnie, niezupełnie zrozumiale i dwuznacznie; świadomie czy nieświadomie przeinaczają przeważnie poglądy swoich przeciwników, przypisują im sądy, których tamci nigdy nie wygłaszali i potem z ogromną łatwością i jeszcze większem zadowoleniem z samych siebie święcą zwycięstwo. A poza tem wszystkiem i przed tem wszystkiem próbują zohydzić *osoby* tych ludzi, których *zapatrywania* uznają za niesłuszne. Niżej podpisany już od dłuższego czasu służy częściej od innych za cel pocisków obozu postępowego. Rzecz prosta, że jest mi to zgoła obojętne. Niekiedy może nawet sprawiać przyjemność i pochlebiać to, że się jest solą w oku przeciwnika; ale to w takim tylko razie, gdy chodzi o przeciwników poważnych. W danej sytuacji nie może to budzić we mnie żadnych ani przyjemnych, ani przykrych odczuwań. Przez cały czas nie dałem się sprowokować do osobistych polemik. I dziś wziąłem pióro do ręki nie po to, aby prawować się z redakcją „Prawdy" o to, kto komu ma prawo rzucić zarzut zdyskredytowania moralnego, ani też w tym celu, aby z kolei ogłosić urbi et orbi, czy ja ze swej strony jestem w stanie zachwycać się p. Moszczeńską. Pozwalam sobie mniemać, że, aczkolwiek te sprawy mogą bardzo żywo obchodzić poszczególnych ludzi, te przecież nie wyjaśniają ani kwestji żydowskiej ani wzajemnego stosunku politycznego dwuch obozów. Odrzućmy więc na stronę wszelkie przypadkowe pierwiastki w polemice i spróbujmy rozejrzeć się w tem, co mówi „Prawda" o powyższych kwestjach w dwuch ostatnich numerach, 40 i 41.

W numerze 40-ym organ postępowego zjednoczenia wygłasza „verba veritatis" pod adresem lewicy. Zdaje mi się przecież, że jest to raczej „testimonium pauperatis" wydane samym sobie. Bo posłuchajcie. „Był moment ... kiedy napozór ... cała bez wyjątku inteligencja (a więc chyba i dzisiejsi kierownicy P. Zj. P. *przyp. aut.)* stanęła pod znakiem Marksa. Było tu wiele owczego pędu, wiele bezkrytycznych uniesień i wiele nieporozumień". Socjalizm polski popularność swą zawdzięczał „specyficznym rosyjskim warunkom", a że obecnie ją stracił, mimo wspomnianych warunków, to „zawdzięcza tylko sobie". Warto się nad tem zastanowić. Najwidoczniej pogromca lewicy chce powiedzieć, że polski socjalizm stracił popularność dzięki nieudolności, błędom i wadom kierowników lewicy. Sądzę, że o ile poważni ludzie stoją „pod znakiem Marksa", to zalety i wady kierowników obozu mogą ich skłonić do walki z temi kierownikami, do prób ujęcia w swe ręce kierownictwa *tego* obozu, ale nie do przejścia pod inny „znak." Jeśli zaś przechodzą pod inny znak, to w samej rzeczy dowodzi, że się oni pod znakiem Marksa znaleźli w najlepszym razie dzięki „owczemu pędowi." Ludzie zaś, którzy w dojrzałym wieku wybierają sobie przekonania polityczne pod wpływem „bezkrytycznych uniesień", dzięki „nieporozumieniom" i idąc za „owczym pędem" — ludzie ci mogą być dobremi pracownikami, lekarzami, inżynierami, szewcami, ale nie powinni zajmować się działalnością społeczno-polityczną, bo się snadź do niej nie nadają. Jeśli zaś sami w powyższy sposób motywują „dzieje rozwoju" swego światopoglądu, to wydają sobie takie świadectwo ubóstwa, wobec którego nie przystoi im mówić innym „słów prawdy." Ale owe „dzieje rozwoju" skreślone przez autora wstępnego artykułu w „Prawdzie" są tylko bardzo charakterystycznym przyczynkiem do oceny poziomu politycznej dojrzałości postępowego obozu, w żadnym jednakże razie nie odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy. Takich „szczęśliwych czasów", gdy cała bez wyjątku inteligencja stała pod znakiem Marksa nigdy nie było. Znaczna większość tej inteligencji

---

nie do jednej wyłącznie kobiety. A ja tęsknię do niej, jak do ciebie.

— Nie mów mi tego. Nie chcę tego słuchać.

— Czemu Regina?

— A cóżbyś na to powiedział, gdybym ja należała do innego?

— Gdybyś tak kochała, jak ja kocham Jankę.

— I nie byłbyś zazdrosny?

— Nie. Gdybym pozostał takim, jakim dzisiaj jestem, to jest człowiekiem wolnym. Dlaczego miłość do jednej kobiety musi usuwać miłość do innej? Nie usuwa. Teraz, właśnie teraz, gdy jestem przy tobie, tęsknię do Janki. Kochając ciebie, kocham i ją także. Gdy cię posiadam, zjawia się jej obraz: gdzieś zdala odemnie duszę sobie łamie, rozpacza, samotna jest. Wtedy cierpię.

Regina roześmiała się.

— Sądzisz, że onaby mi oczu nie wydrapała?

— Nie. Ona zna moją duszę; wie, że ją kocham.

— Stefan, co ty mówisz? Pomyśl, mały. Więc mnie już nie kochasz?

— Kocham.

— A ją?

— Ją także kocham.

— Nic nie rozumiem. Nie mówmy o tem, proszę cię, ja nie chcę tego słuchać, ja sobie pójdę, jeśli będziesz taki.

Sarnecki wziął ją mocno w objęcia, obawiając się, że istotnie może odejść.

— Już nic nie mówię. Przyrzekam. Coś ty ze mną zrobiła, dziewczno Świat mi gaśnie bez ciebie. Bez ciebie jestem chory, który nic już w życiu nie zrobi, chyba jedno tylko—to jedno —Nie mów o tem, Regina, że odejdziesz, bo sama myśl. — Jestem, jak skazaniec, co ma wkrótce umrzeć, ale myśli tej nie dopuszcza do siebie.

— No więc nie myśl, o niczem nie myśl — mówiła, całując jego oczy. Czy wierzysz, że cię kocham?

— Wierzę, że mnie teraz kochasz, ale nie będę o tem myślał.—Przygarnął ją do siebie.—Gdy mnie całujesz, jakbyś we mnie rozniecała życie.

— Masz mnie, pieść bez końca. Rozkosz — czuć twoje piersi na moich—dyszała głosem nieprzytomnym....

(d. c. n.).

na długo przed rewolucją stała na straży okopów muzeum raperswylskiego, o ile wogóle gdziekolwiek bądź w sensie politycznym stała; ogromny procent pozostałej części zajęty był przy „pracy organicznej", patrząc nieufnie i niechętnie na wszelkie polityczne sztandary i tylko nieznaczna względnie (acz znakomicie większa, niż dzisiaj) odsetka inteligencji uważała się uczuciowo raczej za „sympatyków" lewicy. Dziś po rewolucji lewica utraciła i jej sympatje i to naprawdę „ma do zawdzięczenia tylko sobie." Nie w tem znaczeniu, jakie tym słowom nadaje „Prawda", nie błędom swoich przedstawicieli zawdzięcza lewica dzisiejszą swoją niepopularność w tej sferze, ale zaprawdę jedynie sobie, to jest temu, iż jest lewicą.

Powstaje wielce ważne i ciekawe zagadnienie, czemuż się tak stało. Dlaczego te warstwy inteligencji, które przed rokiem 1905 stały pod znakiem Marksa i sympatyzowały z ruchem robotniczym, dziś zajęły i względem teorji i względem praktyki tego ruchu wyraźnie wrogą pozycję. Odpowiedź na to zagadnienie, rzecz prosta daną nieświadomie, znajdujemy w innem miejscu omawianego tu artykułu. Odważywszy się wreszcie jawnie powiedzieć, że rok 1905 był szeregiem „śmiertelnych błędów", jako pierwszy z tych błędów wytyka „Prawda" „nierozróżnianie przewrotu politycznego i rewolucji socjalnej". O „rewolucji socjalnej", o przeobrażaniu ustroju społecznego w Królestwie przed pięciu laty nikt nie mówił. Nie o to zatem chodzi. Profesorowie nauki politycznej mają widać na myśli to, że ówczesny ruch polityczny mas robotniczych nosił wyraźne społeczne zabarwienie. Widać to zresztą z drugiego ich zarzutu z opowiadania o owej „orgji strejków", której tak nie mogą przebaczyć. Ci wystawcy witryn z napisami „jak się rewolucji robić nie powinno" wyobrażają sobie, że jakikolwiek ruch masowy może nie mieć zabarwienia społecznego, wydaje im się, że to na skutek „złego rozporządzenia kierowników, ludzie walczący o zmianę ustroju politycznego chcieli jednocześnie uczynić choć nieco znośniejszemi ciężkie warunki swego codziennego bytu. Inteligencji „sympatyzującej" z ruchem robotniczym nie to rzecz prosta leżało na sercu. Ją obchodziła wyłącznie polityczna strona sprawy. Walka o zdobycze polityczne, którą przed rokiem 1905 najkonsekwentniej prowadził obóz proletarjacki, skupiła wokół tego obozu sympatje pewnej części inteligencji. Gdy w procesie tej walki przejawił się i musiał się przejawić klasowy charakter tego obozu, gdy uwydatniły się społeczne żądania robotników, sympatje poczęły gwałtownie ostygać. Gdy zaś zwyciężyła reakcja, pozostawiając przecież klasom posiadającym niejakie zdobycze polityczne, osiągnięte dla nich, lecz nie przez nich — wtedy jak to już było wielokrotnie w historji — ci panowie mówią „murzyn spełnił swą służbę, murzyn odejść może". I dziś rzecz prosta nie mają sympatji dla tych, którzy im się wydają dla nich niepotrzebnemi, i dziś naturalnie chcieliby zniszczyć nawet *reminiscencje* o czasach, gdy kłaniali się w inną stronę. Tak bywało wszędzie w historji, ale bodaj nigdzie to nie było robione tak niezgrabnie, nieudolnie i tak nazwijmy rzecz po imieniu—naiwnie. W roku 1910 panowie ci pragną wystawiać witryny z odpowiedniemi napisami i mimowoli nasuwa się pytanie: a gdzieście byli pięć lat temu? Hegemonję miały „żywioły niedorozwinięte i histeryczne";—czemużeście Wy „ludzie krytyczni i politycznie dojrzali", wiedzący „jak się robić powinno"—czemuście wtedy nie odczytali swoich aptekarskich recept, nie pouczyli społeczeństwa o tem, jak prowadzić kampanję, aby nie była „chybioną i zwichniętą". Powiecie, że Was nie słuchano? Dlaczego? Czem tłumaczy się to, że masy odtrąciły Was na bok i przeszły ponad Wami, dlaczegoście nie mogli i nie umieli praktycznie w ruchu, w działaniu zastosować swojej politycznej mądrości. Czuliście wtedy, że nie można przyjść i pouczać o tem, że strejki są niepotrzebne, że ludzie powinni mrzeć z głodu i dokonywać dla Was przewrotu politycznego.—Dziś po pięciu latach, licząc na rozbicie lewicy—nie przez Was—dziś występujecie w roli nauczycieli. I każdem słowem swoim demaskujecie swoją klasową fizjonomję, i każdem zdaniem wydajecie sobie świadectwo ubóstwa. Jak wtedy, tak i dziś nie rozumiecie przebiegu zjawisk dziejowych, siedzicie gdzieś w domach swoich daleko od ulicy, na której się i przez którą tworzy się historja, wymyślacie „najlepsze" „jedynie skuteczne" środki lecznicze na zasadzie eksperymentów, w których nie wyście byli materjałem niedoświadczalnym, i naiwnie twierdzicie, że już teraz wiecie jaki to kamień cudowny przeobraża rudę w złoto.

I w tych warunkach z dumą mówicie o „jakości" swego politycznego stronnictwa.

W odpowiedzi na moją „Garść Uwag", pomieszczoną w Społeczeństwie, „Prawda" zapewnia, że kwestję sojuszu z „garścią bezsilnych i kalekich dotkrynerów", „żywiołów kompromitujących i zdyskredytowanych moralnie i społecznie" przesądziła raz na zawsze. Ośmielam się wątpić. Twierdzę, że jak tylko poczujecie siłę zmienicie ton. Kiedy postępowcy mówią o niewzruszoności swych politycznych zasad robi to prawie równie komiczne wrażenie, jak wtedy gdy mówią o tem, że są „potęgą".

Bronisław Grosser.

FELJETON.

Trzy prądy.

Jeśli człowiek udaje, że nie rozumie, jeśli rozumieć nie chce, nie może, jeśli mu rozumieć nie wolno,— jest intelektualnie w porządku, — (rzadziej moralnie, ale nie o tem teraz mowa).

Jeśli jednak patrzy, słyszy, czyta i mimo oczywistość, jasność — naprawdę nie rozumie, jeśli nie rozumie szczerze, naiwnie, głęboko, a przecież rozumieć może, wolno mu bez szkody, — wówczas istnieją dwie możliwości:

Albo jest niedorozwinięty, mniejsza o to, w jakim stopniu.

Albo zdaje mu się, że rozumieć bez szkody mu nie wolno.

Sądzę, że tak się rzecz ma właśnie w głośnym sporze obozu postępowego.

Obóz postępowy sądzi, że mu rozumieć nie wolno i dlatego pozornie dlań jest ciemne to, co dla mnie jest tak oczywiste.

Sympatyzuję z naszym obozem postępowym, bo jest bardzo biedny, bardzo smutny, bo mu żyć i oddychać trudno, bo ma wiele trosk a mało zadowoleń. W pocie czoła zdobywa chleb swój codzienny, skąpy, czarny. Wyrobnik, który w dusznej izbie oddychając jednem płucem, ma w sobie tyle jeszcze ofiarności, że sierotę przygarnął. Zresztą, poco porównania? Rozumiemy wszyscy.

Nagle rozłam. Mąż z żoną, brat z siostrą, ojciec z synem. Kłócą się, bo im źle, bo zarobki nędzne, bo chorzy, bo im ciasno, bo nie dojadają, bo rewirowy czy podatek lub wydatek nieprzewidziany dokuczył. Zastrzegam się, że wyłączam z istoty sporu wszystko osobiste, biorę go abstrakcyjnie, jako coś

co niezależnie od osób, biorących udział, zaszło w nim, — w postępie. Przypuszczam, że nie było ani nieuczciwości, ani prywaty, ani nietaktów,—nic, tylko trzy głosy, reprezentujące trzy odmienne kierunki.

Pierwszy głos:

— My polacy katolicy, wszyscy na *wski* i *icz*, pragniemy pracować dla postępu, dla kultury naszego kraju. Pragniemy wykrzesać z duszy umiłowanego przez nas narodu iskry dumnej, hardej, niespożytej, młodej a mającej piękną tradycję postępowej myśli polskiej, i z iskier tych, wierzymy głęboko, taki płomień po duszach ziomków naszych pójdzie, że oblicze Zachodu i Wschodu purpurą się okryje — wzruszenia i wstydu. Niech *bergi*, *sohny* i *steiny* pójdą na Franciszkańską ulicę, — tam są domy podobne do domów Solca, a w domach tych, od suteryn do poddaszy, mieszkają ludzie, z których każdy ma dwie nogi i jedno serce i jeden mózg. Niech oni tam niosą postępu pochodnię, niech czerpiąc ze skarbnicy naszej, karmią głodnych, niech z czystej krynicy naszej biorąc, spieczone usta spragnionych napoją. Niech nam nic nie dają, niech biorą od nas. Nie chcemy ich pracy dla nas, bo pleciemy wieniec z niezabudek, a oni wpleść nam chcą róże do wieńca. Nasz pas rycerski pragniemy ozdobić tylko brylantami, a oni chcą nam dać perły. A wreszcie są, którzy powiedzą śród nas: „macie obcych pracowników, a więc my możemy spocząć, leniwiej pracować, świętować częściej."— Idźcie więc na Nalewki, i dobra gwiazda niech wam przyświeca. Rozejdźmy się, by tem owocniej pracować,— spotkamy się.

Taki jest głos pierwszy, a oto drugi:

— Pracować dla polskiego postępu? — Policzmy, ilu nas jest: trzech, pięciu, piętnastu, i jeszcze piętnastu. Razem—jednostki,—jednostki przeciw setkom tysięcy. Ja, albo ojciec albo dziad mój, wyrwał się, ach, z jakim mozołem, — wyrwał się z średniowiecza myśli ną łąkę radosną współczesnej wiedzy; potargał okrwawioną ręką kajdany, choć stróżowała go czujnie cudza i własna zła wola. Ilu zginęło, zanim my jednostki wyszliśmy z podziemi i spojrzeliśmy w twarz słońca. Ilu nam pomagało—tych, którzy tam pozostali i cierpią pod strażą cudzej i naszej złej woli—w kajdanach. I dziś ich zdradzić? Przejść do tych, którzy są układniejsi, którzy nas nie lubią, bo mówiąc, mamy zwyczaj niewinny chwytania słuchacza za guzik?—My, potomkowie Salomonów Dawidów, Izajaszów, Makabeuszów, Halewich, Spinozów,— prawodawców, myślicieli, poetów — mamy być tolerowanemi parwenjuszami, my, szlachta najstarsza w Europie, o herbie wspólnym: „dziesięcioro przykazań." Na Solec, panowie *wski* i *icze*, a my—my pójdziemy na Krochmalną. Możecie się uczyć od nas, waszego starszego brata, ale nam nic dać nie możecie, nie byście byli niezdolni, ale jesteście—za młodzi.

Oto trzeci głos,—wreszcie:

— Jesteśmy braćmi jednej ziemi. Wieki wspólnej doli i niedoli, — długa wspólna droga — jedno słońce nam przyświeca, jeden grad niszczy nasze łany i jedna ziemia kryje kości przodków naszych,— więcej łez było, niż uśmiechów; ani wasza ani nasza w tem wina. Ot, pracujmy razem. Jesteśmy biedni, wspierajmy się, jesteśmy smutni, pocieszajmy. Może nam dobra dola zaświeci. My wasze rany, wy nasze opatrujcie,— a że mamy wady, wychowujmy się razem. *Ski* i *berg*, *icz* i *sohn*—społem, dziś na Solec, jutro na Nalewki. Rozpalimy wspólne ognisko, otworzymy przy świetle jego dusze nasze, — co złe, w ogień, co dobre—cenne—dostojne—do wspólnej skarbnicy.

Jako żyd—polak najbliżej jestem własnem sercem tego właśnie głosu, ale nie mogę nie rozumieć dwuch pierwszych, bo będę — albo niedorozwiniętym, albo też zasuggestjonowany myślą, że nie mam prawa do zrozumienia głosów tak wyraźnych, jak „Popioły", „Chłopi", „Pan Balcer", jak Szalom Asz, Szolem Alejchem Perez.

Jest jeszcze czwarty głos, czwarty kierunek, mocny psiakrew, jak sto djabłów, ale o tym sza, bo tego postępowi naszemu naprawdę rozumieć nie wolno.

J. Korczak

„Dziennik rekonwalescencji."

(Z powodu dzieł Stanisława Brzozowskiego „Legenda Młodej Polski" i „Idee")

... „Prawdą twórcy jest zawsze to, jak siebie utrzymywał i stwarzał, nie zaś jak siebie oglądał i posiadał."
(S. Brzozowski „Legenda Młodej Polski — str. 198).

... „Kto wczuje się w tę moją pracę, spostrzeże, że jest ona jakby dziennikiem rekonwalescencji".
(S. Brzozowski „Idee", str. 502).

I.

Upłynęło zaledwie 10 miesięcy od ukazania się „Legendy Młodej Polski", a oto leży przed nami nowe dzieło p. Brzozowskiego — „Idee." Płodność literacka — zaiste zadziwiająca. I dzieła jego są czytane przez szerokie koła publiczności. Bardzo się mylą ci z pośród nas, którzy sądzą, że zarzuty, jakie spotkały p. Brzozowskiego w ciągu lat ostatnich, osłabiły zainteresowanie się publiczności jego utworami. Przeciwnie, spopularyzowały go one nawet. Czytelnicy, co prawda, najczęściej nie rozumieją p. Brzozowskiego, gdyż jego utwory odznaczają się nadzwyczajną chaotycznością, co stanowi wielką ich wadę. Cenią oni natomiast jego odwagę, z jaką obnażał przed laty filisterską duszę uznanych u nas wielkości literackich, pamiętają najczęściej jego znane artykuły o „młodych" i „starych", cenią jego znajomość najnowszej literatury, a przedewszystkiem, są olśnieni wytwornością jego stylu.

To też i dziś skwapliwie chwytają do rąk jego nowe dzieła, szukając w nich odpowiedzi na palące kwestje dnia. Dowodem — ta szybkość, z jaką rozeszło się pierwsze wydanie „Legendy Młodej Polski." I, niestety, dotąd nie tylko „Idee", lecz i „Legenda" nie doczekały się mniej więcej wyczerpującej krytyki; dotąd tysiące czytelników nie posiadają objektywnej oceny tych dwu utworów, pozostawiających dużo do życzenia i ze względu na ich treść i ze względu na niejasność i zawiłość myśli. Z pośród krytyków bowiem p. Kodisowa ujmuje tylko jedną stronę ich zawartości; toż samo i p. Bigeleisen.

P. W. Feldman zaś tłumaczy całkiem opacznie filozoficzne stanowisko autora. Położenie nasze jest nierównie łatwiejsze, gdyż obok „Legendy" możemy też korzystać z „Idei", które, jak twierdzi sam p. Brzozowski, stanowią „uzupełnienie i pogłębienie" „Legendy"; to też w miarę sił postaramy się oświetlić to stanowisko, które zajmuje w nich autor. I w tych dwuch, jak i w dawnych utworach p. Brzozowskiego, zajmuje go kwestja stworzenia podstaw naszej świadomości narodowej w celu „osiągnięcia postulatu samowładnie rządzącego sobą naszego społeczeństwa narodowego" i, co zatem, wszechstronnego rozwoju jego sił kulturalnych.

Przed laty — oświadcza w „Legendzie", — usiłował dowieść, „że należy szukać podstaw dla stworzenia świadomości narodowej w klasowym ruchu proletarjatu", lecz pojmował ruch ten „nazbyt ortodoksalnie po marksistowsku." W „Ideach" zaś przeciwnie twierdzi, że nigdy ortodoksalnym marksistą nie był. Przychylamy się nazupełniej do tego ostatnego zdania.

Kto zna artykuły p. Brzozowskiego, umieszczone w „Naprzodzie" w zimie 1906 r., ten niezawodnie pamięta, że po za zmodyfikowanym na modłę Labriola-Sorela marksizmem, widoczny tam był w jego poglądach na metodę walki o wyzwolenie wyraźny wpływ blankizmu, posiadającego zresztą pewne punkty styczne z marksizmem tego typu.

Dziś, w zakończeniu „Idei", gdzie autor „formułuje rysy najgłębsze swych poglądów", aby nie być źle zrozumianym przez krytyków i recenzentów, czytamy: „Chciałem w niem (w dziale niniejszem) wytworzyć taki stan myśli, *aby przestało być pierwszym krokiem każdej inicjacji umysłowej i duchowej wytworzenie w młodym człowieku takiego stanu duszy, że jego codzienność będzie w życiu jego myśli musem, procesem obojętnym lub ujemnym i od odpowiedzialności za udział w nim uwalnia tylko poczucie buntu przeciwko niemu lub pogardy dla niego.* Dzięki nieszczęsnym stosunkom jeden i ten sam proces budzi w młodzieńcu intencje woli dziejowej i bohaterskiej i podkopuje jej konkretną rzeczywistość w nim samym. *Kto wczuje się w tą moją pracę, spostrzeże że jest ona jakby dziennikiem rekonwalescencji.*"

Ten ustęp nie streszcza bynajmniej całości zadań, które stawia przed nami p. Brzozowski, lecz już tutaj łatwo zauważyć, że poglądy jego stale ulegają zmianie, której głębokość on sam zaledwie stopniowo sobie uświadamia, a która polega na wyzwoleniu się ze swej dawnej rewolucyjnej ideologji; w „Legendzie" fale jego myśli unoszą go w inne całkiem krainy ducha, niż te, w których spędził pierwsze lata swej pracy literackiej, a on zda się nie tego rozumieć; w „Ideach" zmiana jest tak wyraźną, że autor w wielu razach sam ją dostrzega.

Aby jednak należycie ocenić charakter „Legendy Młodej Polski" i jej znaczenie dla sprawy wyzwolenia narodowego, musimy poddać krytyce dzisiejsze ideały społeczne p. Brzozowskiego w zestawieniu z całym jego światopoglądem, co zresztą jest rzeczą dość trudną, gdyż p. Brzozowski, odznaczający się wytwornością stylu, nie grzeszy jednak, jakeśmy już wspomnieli, jasnością myśli i ich ścisłością.

Na powstanie jego światopoglądu, jak sam powiada, wywarli wpływ, obok Kanta, Awenarjusza, Przybyszewskiego, też Antonio Labriola, Bergson, Sorel. Poglądy dwuch ostatnich wycisnęły głębokie piętno na jego twórczości lat ostatnich. Nie znaczy to jednak, aby pozostawał im ściśle wierny, przciwnie, często doprowadza ich poglądy do takich konsekwencji, do jakich oni sami nigdyby nie doszli.

Nazywa swój światopogląd „filozofją czynu" lub też „filozofją pracy", często nazywa go też materjalizmem dziejowym, zaznaczając, że nie jest to światopogląd dzisiejszych marksistów, lecz pokrewny pierwotnym poglądom K. Marxa.

Na pierwszy rzut oka „filozofia czynu" zdradza pewne pokrewieństwo z marksizmem.

Wyjaśniając jej charakter, Brzozowski rozpatruje rozwój kultury ludzkiej, jako wynik pracy wytwórczej — biologicznego wysiłku naszego. „Jest to siła — powiada — która rodzi z siebie świat kultury i wytwarza jego formy, która rodzi z siebie naukę, sztukę, gospodarkę społeczną, prawo, moralność, religję i później znów po za nie i po nad nie wyrasta", która wreszcie jest jedyną dźwignią naszego poznania.

W pracy wytwarza się nasza świadomość, nasza psychika, i wszystko, co jest jej wytworem; i wszystko to o tyle tylko ma znaczenie bytowe, o ile kieruje pracą, o ile przez pracę jest urzeczywistnione. „Praca jest koniecznem, niezbędnem stanowiskiem człowieka wobec wszechświata"; cała historja ludzka jest historją pracy, jest walką naszego biologicznego gatunku ze światem poza ludzkim.

Już z wyżej przytoczonych ustępów każdy, kto zgłębił światopogląd marksistowski, łatwo zauważy, że pokrewieństwo „filozofji czynu" z tym światopoglądem jest tylko pozorne, i w dalszym ciągu postaramy się to wykazać. Teraz natomiast zwrócimy uwagę czytelników na to, że światopogląd p. Brzozowskiego jest idealistyczny, i już dlatego znajduje się w sprzecznoci i z materjalistycznym światopoglądem Marksa i z dzisiejszym stanem wiedzy wogóle.

Cała kultura jest, jego zdaniem, wytworem naszego wysiłku biologicznego, walki naszego gatunku ze światem pozaludzkiem, lecz i nasz wysiłek i ów świat pozaludzki istnieją tylko w naszej psychice. „Gdybyśmy — pisze on — sięgnęli pod powierzchnię tego, co istnieje dla myśli, spostrzeglibyśmy, że niema i być nie może żadnego świata, któryby istniał niezależnie od człowieka".

Ten światopogląd idealistyczny już przez to nie odpowiada zapotrzebowaniom wiedzy dzisiejszej, że nie jest w stanie rozwiązać jednego z najważniejszych zagadnień: stosunku świadomości i bytu. Rozwiązuje je materjalizm djalektyczny, który jest światopoglądem monistycznym; a prowadzi swój rodowod od L. Feuerbacha.

Rozpatruje on człowieka, jako wynik rozwoju wszechświata, w pewnem jego stadjum, jako część bytu; świadomość zaś, jako wewnętrzny odruch działalności mózgu ludzkiego. Stąd nie może być żadnego przeciwieństwa pomiędzy świadomością a bytem; stąd też zrozumiałem jest, że świat istnieje niezależnie od naszej świadomości; istniał on bowiem przed powstaniem gatunku ludzkiego; istniał przed urodzeniem się człowieka, istnieje po jego śmierci.

Ow materjalizm djalektyczny posiada dziś wśród swych zwolenników takich wybitnych uczonych, jak A. Gotje, H. de Frise, A. Forel.

Metoda, którą się posługują zwolennicy tego światopoglądu, jest to metoda djalektyczna, zapożyczona od Hegla. Metoda zaś p. Brzozowskiego posiada bardzo mało wspólnego nie tylko z metodą materjalistów, lecz i z metodą djalektyczną idealisty Hegla, z tą metodą w jej pierwotnej formie. Nie znać bowiem w utworach p. Brzozowskiego głównej cechy djalektyki: zrozumienia, że, chociaż „powstawanie i zanikanie zjawisk odbywa się nie tylko drogą stopniowego rozwoju, lecz i drogą przeskoków", to jednak te przeskoki są wynikiem stopniowego rozwoju, są konieczną, nieodłączną jego właściwością, ujawniają się w pewnem, określonem jego stadjum; nie znać w nich zrozumienia, że rozwój społeczeństw ludzkich, społecznego życia ludzkiego, to tylko moment w rozwoju wszechświata, w którego łonie wrą ciągłe walki, że świat pozaludzki nie jest nieruchomym, nie może być takim, że walka z nim ludzi, że ta ludzka praca wytwórcza, która jest źródłem całej kultury, to tylko jeden z objawów tych walk, posiadający jednak zupełnie odrębne specyficzne cechy, od warunków otoczenia, miejsca i czasu zależne.

(d. c. n.). K. Zalewski.

Mahâ-Bhârata.

(Dalszy ciąg).

Poemat pt. *Sankara-vidżaya* (Zwycięstwo Siwy) nakazuje buddystów wszędzie niszczyć, wypędzać, mordować; kacerzem jest, kto tego nie czyni. — Kult Siwy powstał na tle przesądów i baśni ludowych z demonicznego, zwyrodniałego buddyzmu. Gdy za pomocą Siwy wiara w Buddę została zniweczoną, wówczas bramini rozpoczęli walkę właśnie z Siwaityzmem, ale ostatecznie potworną jego postać złagodzili i doprowadzili Siwę do tożsamości z bogiem Wisznu. — Jakkolwiek w religji ludowej pozostały ślady tego pierwotnego kultu demonów w postaci Kali — czar-

nej bogini śmierci w wieńcu z ludzkich czaszek; straszliwej Durgi, małżonki Siwy, który w tym wypadku zowie się *Bhutaradż, król upiorów;* Dżwali — bogini żółtej febry i t. p. — to jednak Siwa późniejszy — jest to bóg łaskawy, uśmiechnięty, dobrotliwy, zgodnie ze swem imieniem, zapewne dla eufonii wybranem (Siwa-życzliwy). Krótko zaznaczamy tu główne daty (o ile w Indjach może być mowa o datach) wielkości i upadku buddyzmu. Buddyzm zjawia się w VII w. przed Chr., jako wielka potęga reformatorska; w II i I — rozlewa się po wyspach południowych, po Tybecie, Chinach, Japonji i Syberji; tzw. *gimnosofiści* dochodzą nawet do Persji, Egiptu i Palestyny.

W III w. po Chr. znajduje się w największym rozkwicie (o czem nas uczą podróżnicy chińscy), a w r. 900—1000 znika zupełnie z kontynentu indyjskiego — i tyko na Cejlonie się zachował śród ludów półmalajskich.

Konstantynem W. buddyzmu był król Czandragupta, później Asoka. [1]) On to pierwszy upamiętnił na kamiennych tablicach tryumf Buddy (r. 250—200) w Indjach. Na dworze Asoki i jego potomków, była wysoka kultura, o czem mamy świadectwo posła greckiego (Selenkidów) Megasthenesa, którego pisma zginęły, ale które cytuje Dion Chryzostom.

Najazd grecki był dla hindów ważnym momentem przebudzenia ducha narodowego, patrjotyzmu, którego Indje właściwie nie znały. Seleukidowie zostali z Indji wyparci, a później greccy sąsiedzi hindów, jak Apollodotos (160) i Demetrios (100) żyli z niemi w przyjaźni i wpłynęli na Indje, szerząc w nich naukę grecką i sztukę grecką [2]).

Królowie ci wspominani są w MB., jako władcy ludu *Yavana, Yauna* t. j. Jonów, greków, pod imionami Bhagadatta i Dattamitra [3]), tak mówi A. Holtzman.

Po zwycięztwie z jednej strony buddyzmu nad braminizmem, z drugiej Indji nad najezdniczym grekiem — rozwinęła się na dworach królewskich uprawa sztuki i poezji, niby w Atenach za Peryklesa po wojnach perskich lub w Hiszpanji po złamaniu jarzma arabskiego.

Wówczas to przystąpiono do rewizji, układu i redakcji Mahâ-Bhâr.

MB. w stanie płynnym oderwanych rapsodów — istniała już od niepamiętnych czasów. Imiona jej bohaterów (za wyjątkiem Pandu) spotykamy w Rigwedzie. Oddzielne rapsody zapewne krążyły po świecie. Jak jednakże wyglądało to pierwotne epos — niepodobna sobie wyobrazić. Czy Mahâ-Bh. buddyjska była pierwszą postacią skonstruowaną tego utworu czy też już przedtem istniała inna konstrukcja? o tem Holtzman nic nie mówi.

W analogiczny sposób rozwija autor hypotezę o M B h. Wisznuickiej, Siwaickiej i Wisznu—Siwaickiej.

Daje on nadzwyczaj ciekawe szczegóły, zestawienia, dowody na potwierdzenie swej tezy. Jego streszczenie M. B. h. jest ułożone ściśle w duchu jego teorji; mianowicie podkreśla on zawsze *alte Züge*, które stanowią dla niego dowód pierwotnej redakcji MB.; odróżnia przytem starożytną Sagę, legendę czyli materjał czysto epicki oraz stronę dydaktyczną, nauczającą, prawno-teologiczną Mahâ-Bhâraty. W podobny sposób czyni Hopkins, odróżniając epikę i pseudo-epikę. Owa pseudo-epika zawiera starożytne rysy urządzeń społecznych (dawne formy małżeństwa, mniejszy rygor kastowy, igrzyska rycerskie, jak polowanie— później przez braminów potępione), a jednocześnie i zgoła nowe zasady, oparte już na mocno utrwalonej władzy braminów. W części dydaktycznej możnaby równie dobrze widzieć stare i nowe rysy, jak w części opowieściowej. Odtwarzanie pierwotnej, nieznanej nikomu MBh., ma tę wadę, że nie da się skontrolować. Sprzeczności charakterystyki bohaterów wcale nie świadczą o przeróbce; dowodzą one tylko, że poeci indyjscy, pomimo niesłychanie bujną fantazję, byli realistami, dla których w człowieku miesza sie zło i dobro. Dla tego też bitwy, pomimo różnych ubocznych cudów (np. cudownego oręża Ardżuny), odbywają się *lege artis* podług *Dhanurvedy* t. j. nauki wojennej. Sprzeczności zatem charakteru braci Kuru i braci Pandu — mogły istnieć poza wszelką hipotezą buddyjską. Nadto MBh. była za pomocą tradycji ustnej utrwaloną: ślady odmiennej budowy w jakiś sposób by się przechowały. Odmiany perskie i arabskie MBh. żadnej różnicy istotnej nie wykazują. Nie wykazują jej również odmiany buddyjskie (t. zw. dżataki). Zdaniem J. Dahlmana Mahâ Bhâr., którą Holtzman uważa za pierwotną w 8800 — slokach — była właśnie skróceniem: i istniała bowiem też M. Bh. w 1000 slokach i nawet w 4 slokach t. j. 8 wierszach, już zapewne bynajmniej nie pierwotna. Istnieje też t. zw. *Balâ Bhârata* t. j. mała Bh., utwór z XV lub XVI w., skrócenie samoistne wielkiego poematu. Zastrzeżenia powyższe są konieczne przy rozważaniu teorji Holtzmana, która długi czas była b. ceniona.

Joseph Dahlman w kilku swoich dziełach „*Genesis des MB.*" „*Mahâ Bh. als Epos & Rechtsbuch*"—z zupełnie innego punktu widzenia rozważa MB. Zdaniem jego błąd krytyki dotychczasowej polega na tem, że rozważała ona szczegóły, dopiero później przechodząc do uogólnień Była to krytyka analityczna; Dahlman rozwija krytykę syntetyczną, która przedewszystkiem rozważa MB. jako całość i dopiero potem przechodzi do szczegółów. Holtzmanowski system fałszowań, interpretacji, odmian póty się da utrzymać, póki się przyglądamy pojedyńczym fragmentom; z chwilą jednakże, gdy traktujemy MB. nie jako konglomerat sprzecznych ze sobą cząstek, jako *ein historisch-chronologisch unqualificierbares Mischmasch* ([4]), wtedy spostrzegamy w MB. harmonję i jednolitość bezwzględną, od wszelkich sprzeczności wolną—i nie widzimy potrzeby traktowania tego budynku, jako formacji tysiącletniej o najrozmaitszych przekształceniach.

Tezy Dahlmana są następujące:

1. Epos jest prawidłowo zbudowaną jednością.
2. Pojedyńcze części eposu świadomie i celowo są powiązane ze sobą.
3. Jedność została pomyślana i wykonana przez jedną osobistość.
4. Stopniowe rozszerzanie lub kolejne przeróbki są przeto wykluczone.

Słowem wbrew wszelkim twierdzeniom Holtzmana J. Dahlman utrzymuje że „żadna część M. B. nie jest obcą celowi całości; każda część celowi całości służy."

Nie jest to bynajmniej jedność estetyczna. Celem rzeczywistym MB. nie jest bajanie, lecz nauka; mianowicie nauka religji, filozofji, moralności, polityki, organizacji państwowej, genealogji i historji; tłem tej nauki są żywoty świętych, królów, bohaterów—wogóle rapsod, poezja jest tu jedynie na usłudze prawd filozoficznych, ona jest nosicielką i głosicielką tych nauk. Poezja MB. jest piątą Wedą.

(d. c. n.) A. Lange.

[1]) Że wszystko to jest pół legendą świadczy przekonanie dość powszechne, że Czandragupta i Asoka jest jedną i tą samą osobą.

[2]) Rzeźba — architektura — technika — nauki ścisłe. Na wpływ grecki w Indjach zwraca uwagę A. Weber oraz Goblet d'Alviella.

[3]) W Biblji również grecy zowią się Yavan. Znany też był w Indjach alfabet grecki *(Yavanani lipi)*, o którym wspomina MB.

[4]) Pr. A. Ludwig.

Rozdźwięki.

Janusowy postępowiec.

Po za patetycznemi głosami, nabrzmiałemi od oburzenia, potępienia i pogardy, jakie się chóralnie rozległy na wieść, że Jasna Góra, ta rzekoma „ostoja narodu", te granitowe okopy św. Trójcy, okazała się zbrodniczą i cuchnącą norą, wobec której ponura i wstrząsająca „Jama" Kuprina to skromne miejsce niewinnych rozrywek, po za wszystkiemi niemal artykułami, omawiającemi ten już, niestety, nie dający się ukryć ani zatuszować „skandal" wszechświatowy, wyraźnie się dała wyczuć trwoga i troska klas posiadających, burżuazji i zwłaszcza obszarników, że to może „osłabić wiarę", odbić się na „moralności ludu" — to znaczy pobudzić go do myślenia samodzielnego, zaostrzyć w nim krytycyzm, wzniecić chęć niezdrową rozkucia oków, wyzwolenia się z jarzma stada kruków, choćby rozluźnienia pęt niewoli i ucisku, na razie duchowego, tymczasem religijnego. Stąd konsternacja, gniew i miotanie się. Bo przyznać należy, że będąc tępemi i ograniczonemi politykami w innych sferach życia publicznego i społecznego, sfery te doskonale orjentują się, że „usunięcie religji, jako iluzyjnego szczęścia ludzkości, jest to pragnienie rzeczywistego szczęścia, że żądanie zdarcia iluzji ze swego położenia jest żądaniem wyjścia wogóle z położenia wymagającego iluzji, że przeto krytyka religji jest zarodkiem krytyki tego padołu płaczu, którego świętą aureolę stanowi religja". Na tym padole jednak płacz, nędza, znój, krew i pot jest udziałem tylko jednego bieguna społecznego, na drugim bowiem żyje się jako tako, zwykle wcale niczego—pod osłoną reakcji i represji, pod rozpostartemi opiekuńczemi skrzydłami władzy świeckiej w mieście, duchownej — na wsi. Któż to, jak nie oni, klechy sprośne i opasłe, wiecznie i czujnie stali i stoją na straży interesów obszarnika przeciw ludowi wiejskiemu, któż to, jak nie oni, uzbrojeni w krzyże, hostje i oleje, pewniej i skuteczniej ujarzmiają go od kolebki do grobowej deski, znieprawiają go, łupią i ogłupiają, któż to, jak nie oni, kruki i szakale, błogosławili uzbrojonym bratobójczym bandom, które napadały na spokojnych robotników rolnych, gdy ci bez żadnych bezprawi i ekscesów, pragnęli tylko poprawy swej nędznej głodowej strawy i chlewu — mieszkania?! Oto, gdzie niezastąpiony sojusznik, nieoceniony sprzymierzeniec, drogi i wypróbowany adherent, umiejący nawet z okazji okradzenia „cudownego obrazu", okradzenia i rabunku, dokonywanego przez siebie samego, spreparować „święto narodowe" i ściągnąć pół miljona włościaństwa, by wysłuchało podniosłych kazań ojców Damazych o zbawczem zginaniu karków w niewoli i upodleniu, by z ich plugawych rąk przyjęto sakrament, zachętę i błogosławieństwo na dalszą orkę—katorgę, w pokorze i milczeniu. I takiemu przyjacielowi nie przyjść z pomocą, gdy się znalazł w opresji? Nie podać mu ręki, nie osłonić, nie bronić? Choćby na to wskazywało uczucie, cień uczucia wstydu, nie pozwoli klasowy interes, pardon, narodowy. Gdy przeto z odezwy mnichów biła przedewszystkiem obawa, że ten lud przestanie swą krwawicę pasorzytom znosić, obawa, której w popłochu i pośpiechu (telegraficznie odezwę rozesłali!) ukryć nie potrafili, w kołach ziemiańskich i ich organach odezwał się lęk, że kler, to opatentowane narzędzie ciemnoty i ucisku, może się stępić, wpływ stracić i zamglone oczy ludu przejrzą i dusza jego się ocknie. Więc komedjom i błazeństwom rzymskim i włocławskim, ich anatemom i rekolekcjom, zaczęły sekundować adresy wiernopoddańcze do biskupa-denuncjanta, deklaracje gotowości „oddania wszystkich sił swoich kościołowi i wierze katolickiej", „niezachwianej wierności i przywiązania." Adres taki, symptom i świadectwo epidemji klerykalnej na podłożu egoizmu kastowego, wystosowali, między innemi, w d. 11 b. m. obszarnicy, zgromadzeni na swych naradach w centralnem towarzystwie rolniczem w Warszawie.

Należy poczytać za zasługę publicystyczną „Nowej Gazecie", że zostało ujawnione w tym adresie nazwisko p. Józefa Jabłońskiego, członka zarządu „Polskiego Zjednoczenia Postępowego", wydawcę jego organu „Prawdy" i jednocześnie prezesa Tow. rolniczego łomżyńskiego. Tableau! Bierze czynny udział we wstrętnej anticywilizacyjnej manifestacji człowiek, należący do zarządu stronnictwa, wyznającego zasady wolnomyślne, postępowe i demokratyczne, podpisuje średniowieczny adres człowiek o kulturze europejskiej, rzekomy zwolennik czy wyznawca haseł współczesnych— robi to wtedy, kiedy nawet kumoszki potakują nietzscheańskiej sentencji, że „nieprzyzwoitością jest być dziś chrześcijaninem."

Dalej trudno pójść w kierunku autokastracji wyznawanych idei, trudno o większy oportunizm, o większy, jaskrawszy rozdźwięk między słowem i czynem. A gdyby tak „wezwano" (!) naszego „postępowca" do zbiorowej ekspiacji za doskonały artykuł naczelny w № 42 „Prawdy" w formie np. ucałowania arcypasterskich stóp Popiela, to p. Jabłoński, „idąc za głosem wewnętrznego przekonania", dałby „wyraz niechęci" do takiego aktu (oczywiście również prywatnie, w rozmowie z kilku osobami), lecz byłby, jako „prezes", zniewolony (!) do wykonania go.

Polecamy gorąco stronnictwu do rozważenia pytanie z № 42 „Prawdy", skierowane pod adresem...— „Gazety Warszawskiej": „co to jest? jacy tam ludzie kryją się pod szyldem demokratycznym?"

W kilkuletniem istnieniu stronnictwa tego, jako rys charakterystyczny zaznaczyła się jego zygzatowatość i chwiejność, objawem czego był „akces" do szopki neosłowiańskiej, udział w memorjale szkolnym i t. d. Przyznać jednać trzeba, że zmagało się ono od początku z żywiołami konicowemi i skutecznie ich się nawet pozbywało; oby ten proces nie ustawał, czego w interesie szczerej myśli postępowej życzyć mu należy.

Stronnictwo tak nieliczne, armja niewielka w walce z ciemnemi, a tak przemożnemi czynnikami, siłę swą, znaczenie i wpływy czerpać jedynie może z czystości i mocy swych zasad, dla akrobatów i faryzeuszów miejsca nie powinno tam się znaleźć.

Cz. Hul.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatni zeszyt Życia Robotniczego t. j. № 6 i 7 zamieszcza oszczerczy artykuł p. t. „Czemu nie likwidują" podpisany przez niejakiego H. Osińskiego nibyto „w imieniu licznej grupy członków b. Związku Metalowców", a zwrócony przeciwko temuż Związkowi i jego zarządowi.

Pełne fałszu wywody Życia Robotniczego, nacechowane świadomą tendencją zohydzenia wszystkiego, co klasa robotnicza w latach 1905—7 zdziałała, zostały pochopnie przedrukowane przez inne pisma

wrogie klasie robotniczej, co zniewala nas do umieszczenia kilku słów sprostowania.

„Życie Robotnicze" zarzuca, że Związek Metalowców zbierał „przez długie miesiące grosz krwawo zapracowany", a po zawieszeniu go w grudniu 1907 r. nie ogłosił „żadnego wyjaśnienia, co do losu naszych funduszów" i nie zwołał zebrania likwidacyjnego.

Takie są zarzuty „Życia Robotniczego" zaprawione odpowiednim jadem. Rzeczywistość zaś przedstawia się, jak następuje:

Zebranie organizacyjne Związku odbyło się dn. 4 sierpnia 1907 r., a zawieszenie nastąpiło dn. 29 grudnia tegoż roku, czyli Związek istniał niespełna pięć miesięcy. Krótki ten czas w znacznej części był obrócony na robotę organizacyjną: Związek zdołał w tym czasie zorganizować 22 oddziały i zgromadzić 16924 członków. Oczywiście dochody Związku nie mogły w początkowym okresie organizowania się być wielkie, były jednak poważne: do kasy centralnej wpłynęło około siedmiu tysięcy rubli. Za krótki czas swego istnienia związek ogłaszał sprawozdania ze swej działalności i kasowości w Związkowcu i siedmiu wydanych przez Związek okólnikach, a po zawieszeniu wydał drukiem w kilku tysiącach egzemplarzy obszerne 19 stronnicowe sprawozdanie. Wykaz kasowy w tem sprawozdaniu zamyka się pozostałością w gotówce w kasie centralnej rb. 317 kop. 18½. Nie są to „wielkie kapitały", o których pisze Życie Robotnicze, bo w tym krótkim czasie zebrać ich nie było można, zwłaszcza, że duże musiały być wydatki organizacyjne, a strejk na Dębowej Górze, trwający cztery i pół miesiąca, pochłonął także duże sumy nie tylko ze składek specjalnych, lecz i z kasy centralnej.

Zebrania likwidacyjnego Zarząd postanowił nie urządzać ze względu na znaczne koszty zjazdu delegatów z 22 oddziałów (według przypuszczalnego obliczenia — około 900 rubli), koszty, których pozostała suma 317 kop. 18½ nie była w stanie pokryć.

Życiu Robotniczemu fakty te, zdaje nam się, że są wiadome, gdyż podaje ono liczbę członków b. Związku dokładnie podług wspomnianego sprawozdania likwidacyjnego. Wie też ono o strejku na Dąbrowej Górze, wie również o prześladowaniu władz, któremu ulegał Związek w czasie swego istnienia i które paraliżowało jego działalność, lecz oszczercy to wszystko ust nie zamknęło.

Jeszcze słów parę o dalszych naszych zabiegach w sprawie Związku Metalowców.

Po zniesieniu stanu wojennego staraliśmy się otworzyć Związek na nowo pomimo, że to był czas ogólnego przygnębienia i apatji wśród klasy robotniczej, wyczerpanej przez kryzys i represje, dowiedzieliśmy się jednak, że Związek nasz jest zamknięty na zawsze. Staraliśmy się zalegalizować nową ustawę, i to się również nie udało. Zwracaliśmy się ze skargą do senatu, ale bezskutecznie. O tem wszystkiem były wiadomości w pismach, pomimo to Życie Robotnicze śmie pisać, że panowała o nas „zupełna cisza."

Nie odpowiadaliśmy na oszczerstwa Życia Robotniczego, ale rozchodzi nam się o tę garstkę robotników, którzy jeszcze w „Polskich Związkach" pozostają i których pojęcia tego rodzaju oszczerstwami starają się wypaczyć.

Członkowie b. Zarządu b. Związku zawodowego robotników przemysłu metalowego w Królestwie Polskim.

b. prezes Grzegorz Staweno.
b. kasjer Feliks Rosłowicz.

KRONIKA.

— Konfiskaty: Z rozporządzenia komitetu prasowego skonfiskowano w Wilnie № 1 tygodnika „Nowe Życie". W Kijowie skonfiskowano № 204 gazety „Ogni" za odezwę „Do czytelników" aresztowanej p. Prochaskowej.

— Kary prasowe: Redakcja „Gońca" skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 25 rb. kary za wydrukowanie wiadomości o dokonanej rewizji.

Redakcja gazety „Iskra", wychodzącej w Sosnowcu, skazana została na zapłacenie 100 rb. kary za artykuł w sprawie nieprzyjmowania do fabryk robotników, karanych w drodze administracyjnej.

„Kurjer Litewski", wychodzący w Wilnie, został z polecenia władz sądowych zawieszony do czasu ukończenia procesów prasowych, wytoczonych redaktorowi tego pisma.

Redakcję „Kurjera Świątecznego" skazano na 100 rb. kary, za wiersze, poświęcone rewizji senat. Neudhardta p. n. „Cóżeś ty winna polska ziemio, że łapownictwa jesteś akademją", oraz „Bo nam Prusak nie pozwala".

Współredaktor, wychodzącego do niedawna w Kijowie polsko-ukraińskiego pisma p. n. „Przegląd Krajowy", p. Wacław Lubiński, wytoczył sprawę w obronie czci swojej redakcjom „Kurjera Warszawskiego" i „Gońca Wieczornego„. Pisma te z powodu ogłoszenia t. zw. „Dokumentów" szpiega Rakowskiego, przypisały p. W. Lipińskiemu zarzuty, tyczące się według tych dokumentów niejakiego „Wentzla Lipińskiego".

Redakcja „Wieczorów Rodzinnych" skazana została przez generał-gubernatora na 125 rb. kary za artykuł p. n. „Bojownicy wolności", omawiający uroczystość odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego w Ameryce.

Skazaną na 6-io tygdniowe więzienie redaktorkę pisma „Ogni" w Kijowie, p. Prochaskową, w tych dniach wypuszczono na wolność, wolność swą jednakże okupiła za cenę zwinięcia wydawnictwa, przeciw któremu władze administracyjne rozwinęły od niejakiego czasu energiczną kampanję.

— We wsi Uzwaldzie, gub. Witebskiej tłum włościan wypędził „uriadników" i strażników, wyłamał dzwi do aresztu i uwolnił więźniów, zdaniem włościan, niewinnie aresztowanych.

— W ciągu września sądy wojenne wydały 60 wyroków śmierci, z których wykonano dwa.

— Opozycja w Izbie petersburskiej domagać się będzie rozważenia w czasie przyszłej sesji projektów prawodawczych co do rozrzeszenia praw budżetowych Dumy i zniesienia kary śmierci. Prócz tego opozycja zamierza na początku sesji złożyć wniosek w sprawie przekazania specjalnej komisji projektu prawodawczego, znoszącego granicę osiadłości żydów. Prawica natomiast domagać się będzie rozważenia sprawy głośnego okólnika, wstrzymującego wydalenie żydów z Rosji.

— Ruch strejkowy w Warszawie trwa w dalszym ciągu.

— W sądzie okręgowym żytomierskiem ma być wkrótce rozważana sprawa 105 włościan z gminy Krasnopolskiej, oskarżonych o niewykonanie legalnych żądań policji. Niezwykłość tego procesu polega na tem, że w sprawie 105 podsądnych wezwano tylko jednego świadka — miejscowego „stanowego".

— Rząd hiszpański przygotowuje się do obchodu stracenia Ferrera. Oddziały wojsk stoją w koszarach. Policja londyńska otrzymała wiadomości, że w Londynie przygotowują się robotnicze manifestacje na cześć Ferrera. Schody ambasady hiszpańskiej pomalowano jakąś farbą purpurową, której służba zmyć nie zdołała.

— Archimandryta klasztoru św. Trójcy w Kijowie, za roztrwonienie na „cele" rozpusty kilkakroć sto tysięcy rubli z funduszów klasztornych, został przez wyższy sąd duchowny skazany na osadzenie w klasztorze Sołowickim.

— Strejk kolejowy we Francji słabnie wskutek represji i dezorganizacji. Prezes ministrów, Briand, oświadczył, że nie uznaje komitetu strejkowego i że zgadza się prowadzić rokowania tylko z wybranemi przedstawicielami pracowników kolejowych. Ruch kolejowy odbywa się przy pomocy rezerwistów, powołanych z pośród urzędników i robotników. Szef stacji ma rangę kapitana, jeden z tragarzy jest podoficerem, kilku urzędników ma rangę kaprali i t. p. Pracownicy ci są więc z woli rządu republiki demokratycznej łamistrejkami mimo woli.

— Według zebranych ostatnio danych urzędowych, Warszawa liczy ogółem 781,179 mieszkańców, w tej liczbie 566,057 mężczyzn i resztę kobiet. Pod względem wyznań liczba katolików wynosi 417,948, żydów 281,734, prawosławnych 31,651, marjawitów—7,002, ewangielików 14,068, kalwinów 3,051 i t. d.

Obszar ogólny zajęty przez miasto wynosi 424 dziesięcin i 1,990 sąż. kwadr. Wartość 73 gmachów, należących do kasy miejskiej, obliczono na rb. 3,355,950.

W 500 istniejących w mieście fabrykach pracuje 32,398 ludzi, obrót roczny tych fabryk przedstawia wartość 74,688,900 rubli.

Największą liczbę rąk zatrudnia rzemiosło szewckie.

Z dwuch jarmarków, urządzanych w Warszawie, obrót jarmarku na wełnę sięga rb. 587,960, jamarku na chmiel rb. 24,470.

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.